



Cernowski szok

30 lat polskiego członkostwa w CERN-ie pokazało, że odgrywa ono kluczową rolę dla naszych badań naukowych w fizyce oddziaływań elementarnych, i szerzej, dla naszej nauki i rozwoju zaawansowanych technologii. Pozwoliło także na promocję na wielką skalę polskiej nauki, dzięki uczestnictwu polskich fizyków, inżynierów i techników w międzynarodowych projektach badawczych. Z okazji 30. rocznicy przystąpienia Polski do CERN-u warto także przypomnieć, że nasze kontakty naukowe z CERN-em sięgają lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku i ten pierwszy, też blisko 30-letni okres odegrał nie mniej istotną rolę w historii naszych badań, powstaniu polskich szkół naukowych, a nawet naszych bardziej osobistych historii. Jest więc okazja, by spojrzeć na CERN w tym okresie przez pryzmat własnych doświadczeń i wspomnień.

Po raz pierwszy przyjechałem do CERN-u jesienią 1968 roku, na około półtoraroczny staż naukowy po doktoracie. Nie było wtedy jeszcze formalnych kanałów aplikacji do CERN-u, zresztą z pewnością nie miałbym odwagi, żeby aplikować. Wyjechałem z inicjatywy mojego promotora Grzegorza Białkowskiego i dzięki poparciu Mariana Danysza w CERN-ie. Marian Danysz wraz z Jerzym Pniewskim kierowali warszawską grupą doświadczalną, współpracującą już wtedy bardzo blisko z CERN-owskimi grupami doświadczalnymi i swój wyjazd, teoretyka tuż po doktoracie, osoby całkowicie anonimowej dla teoretyków w CERN-ie, zawdzięczam bliskiej współpracy mojego promotora z warszawską grupą doświadczalną.

Proszę więc sobie wyobrazić rok 1968, ze wszystkimi jego realiami w Polsce i mnie, dwudziestosześcioletka, który nigdy wcześniej nie wyjeżdżał na Zachód, lądującego w Genewie z kilkoma frankami w kieszeni, mniej więcej wystarczającymi na kupno biletu autobusowego do Meyrin, dzielnicy Genewy, obok której jest siedziba CERN-u. Miałem tam wynajęty pokój przez będącą wtedy w CERN-ie moją trochę starszą koleżankę z grupy doświadczalnej, niestety nieżyjącą już, Marię Bardadin-Otwinowską. Rozpieszczony przez nasz socjalizm, z wdzięcznością wspominam pomoc Marii w przetrwaniu kilku pierwszych dni w zderzeniu z okrutnym kapitalizmem.

Następnego ranka, po załatwieniu kilku wstępnych formalności w administracji CERN-owskiej, udałem się do szefa departamentu teoretycznego, Jacka Prentkiego, Polaka z paszportem francuskim, wybitnego fizyka, który spojrzał na mnie z pewną rezerwą i chyba niedowierzaniem (co on tu robi...), i dał jedną radę: zgłoś się do kogoś znanego i powiedz, że chcesz dla niego pracować. Inaczej tu zginiesz. Na szczęście łatwo mi było iść za tą radą. Na liście zatrudnionych na stałe członków departamentu (mniej więcej 35-letnich „seniorów”) znalazłem nazwisko Maurice'a Jacoba, Francuza, autora bardzo znanej w tamtym czasie pracy, którą studiowałem przy pisaniu doktoratu. Poszedłem, dostałem temat. Kolejne tygodnie wspominałem wiele lat później, gdy zachęcałem swoich doktorantów do nieco bardziej wydajnej pracy mówiąc ze śmiechem: przecież doba ma 24 godziny i jest jeszcze noc...

CERN robił ogromne wrażenie jako laboratorium. Małe miasteczko, w którym otwarty był dostęp do wszystkich budynków i pomieszczeń. Tętniące życiem biura i korytarze, także w nocy. Restauracje, w których przez pierwsze tygodnie samotnie jadałem posiłki, kafeterie, które omijałem z nieśmiałością, z zazdrością patrząc na ożywione dyskusje przy stolikach. No, ale przede wszystkim, te nazwiska, znane mi dotychczas wyłącznie z prac przeze mnie czy-

tanych, teraz zmaterializowane w ludzkie kształty krążące po korytarzach i siedzące w biurach z wizytówkami na drzwiach. Wielu ludzi tworzących historię fizyki oddziaływań elementarnych, pracujących w CERN-ie lub tylko przybywających z wizytą czy z seminarium, było w zasadzie (to było wtedy ważne zastrzeżenie) w zasięgu mojej ręki...

Współpraca z Maurice'em Jacobem rozwijała się pomyślnie, a dzięki Andrzejowi Białasowi, który też przyjechał w tym czasie na rok i był już wytrawnym bywalcem salonów CERN-owskich, znalazłem się także w grupie współpracowników Léona Van Hove, który był wcześniej kierownikiem Departamentu Teorii, a później został Dyrektorem CERN-u. To był początek bardzo ważnej dla mnie kilkuletniej współpracy z Van Hovem. Zasadnicze znaczenie dla przełamania samotności w „łumie wielkiego miasta” miały powoli rozwijające się kontakty naukowe i też towarzyskie z moimi rówieśnikami. Naturalne kontakty na tym poziomie tworzyły się najczęściej między rówieśnikami tej samej narodowości i było to oczywistym utrudnieniem dla mnie, chyba jedyne w tym czasie, poza Andrzejem, Polaka w teorii. Szczególnie miło wspominać dyskusje o fizyce i na inne tematy z Chrisem Llewellynem-Smithem, Walińczykiem, późniejszym dyrektorem CERN-u, Davidem Grossem, późniejszym noblistą i poznanym wtedy Pekką Pirillą, teoretykiem z Finlandii, często prowadzone już w kafeterii!. Współpraca naukowa z rówieśnikami, szczególnie z Pekką Pirillą, w czasie mojego kolejnego pobytu w CERN-ie w latach 1972/73, okazała się bardzo ważna dla zaznaczenia mojej tożsamości w CERN-ie.

W późniejszych latach przyjeżdżałem do CERN-u wielokrotnie, na długie i krótkie pobyty, w sumie spędziłem tam około 8 lat. CERN stał się dla mnie często odwiedzanym miejscem pracy, międzynarodowych kontaktów i partnerskiej współpracy naukowej. Był i jest również miejscem staży naukowych moich wychowanków, później często cenionych w CERN-ie współpracowników.

Magiczna rola CERN-u polega na tym, że w wielu wypadkach te naukowe związki zamieniają się w prawdziwe przyjaźnie. Tak stało się z Maurice'em Jacobem, Jackiem Prentkim, a nawet, w pewnym sensie, ze wzbudzającym ogólny „postrach” Léonem Van Hove. Wśród ludzi, którzy już od nas odeszli, chciałbym także wspomnieć Guido Altarelliego wybitnego włoskiego teoretyka, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem w późniejszych latach. Długa jest lista nazwisk moich przyjaciół -fizyków rozsypanych po świecie, których po raz pierwszy spotkałem w CERN-ie.

Muszę jednak podkreślić, że każda kolejna wizyta w CERN-ie przywołuje u mnie przede wszystkim wspomnienia tych 50-ciu lat rozwoju fizyki oddziaływań elementarnych i zmian moich własnych zainteresowań naukowych. Siwe głowy w CERN-owskich restauracjach i kafejkach, zmieszane z młodzieżą, są żywą historią powstawania współczesnej teorii oddziaływań elementarnych, dzięki kolejnym budowanym tam unikalnym w świecie urządzeniom badawczym i badaniom teoretycznym.

Współczesny CERN jest bardzo różny od tego sprzed 50-ciu lat, z jego ówczesną atmosferą. A może to jest tylko moje wrażenie? Może młodzi ludzie pracujący tam teraz odbierają go podobnie jak ja w roku 1968? Choć myślę, że jednak nie całkiem, że stworzone przez rewolucję technologiczną możliwości komunikowania się i współpracy coś zmieniły. Zdecydowanie niezmienna pozostaje jednak rola CERN-u w badaniach w naszej dziedzinie w świecie i w Polsce.